wolnelektury.pl

Antoni Lange

Rozaura

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ANTONI LANGE

W CZWARTYM WYMIARZE

Rozaura

Salon pani Zofii. Przy stolikach kilka pań. Piją herbatę. W sąsiednim pokoju kilku panów gra w karty.

Pani Jadwiga, rzuciwszy okiem na świeżo przyniesioną gazetę wieczorną, zawołała nagle:

— Oto nowina!

— Co się stało? — pytająco zwróciły się do niej trzy inne damy.

P. JADWIGA: Rozaura wyszła za mąż!

P. LAURA: Co mówisz? Trupia głowa znalazła wielbiciela! Ależ to perwersja!

P. EMILIA: I za kogóż wyszła?

P. JADWIGA: Nikt by się nie domyślił! Za Brzeszczota!...

P. LAURA: No, to po prostu koniec świata!

P. EMILIA: Taka poczwara!

P. LAURA: Bez nosa!

P. JADWIGA: I te czarno-czerwone plamy na całej twarzy!

P. EMILIA: I to czoło, jakby skóry pozbawione!

P. LAURA: Usta bez warg!

P. JADWIGA: Głowa prawie łysa!

P. EMILIA: Pokraka! Do trupa raczej podobna! Straszydło na ptaki....

P. LAURA: Powiedz lepiej — straszydło na smoki! Meduza by się jej ulękła...

P. ZOFIA *gospodyni domu, która dotąd milczała*: Najdziwniejsze jest dla mnie w tym wszystkim — nie to, że się Brzeszczot ożenił z Rozaurą, ale że się w ogóle ożenił!

P. JADWIGA: Bo i prawda! Taki nadzmysłowy człowiek!

P. LAURA: Człowiek widmo!

P. EMILIA: Mag-czarnoksiężnik! Co też o nim nie opowiadają!

P. LAURA: Eh, wszyscy oni tacy sami!

P. JADWIGA: No, dobrze! Ale żeby się ożenić z taką Pastraną!

P. ZOFIA: Myślałam zawsze, że Brzeszczot stoi tak wysoko, że dla niego małżeństwo po prostu jest czymś nienaturalnym... A jednak...

P. JADWIGA: To coś czartowskiego!... Owszem — ja się wcale nie dziwię, że taki sługa diabła, jak Brzeszczot, ożenił się z takim koczkodanem.

P. LAURA: Już jeżeli miał się żenić, to dlaczego nie z p. Izabelą?

P. EMILIA: Albo z Karoliną?

P. JADWIGA: Albo z Wandą? *Widać, że każda z pań miała swoją kandydatkę.*

P. ZOFIA: Ależ ostatecznie, gdzie i kiedy to się stało? Przeczytaj.

P. JADWIGA: O, słuchajcie... *czyta* Dnia 15 maja 19... w kościele Santa Maria del Fiore we Florencji odbyły się zaślubiny p. Wawrzyńca Brzeszczota z p. Rozaurą Białogórską.

P. LAURA *klaszcząc w ręce*: Szczęść Boże młodej i dobranej parze!

P. JADWIGA: A przy tym skąd ta Rozaura? Przecież ona była po prostu Rozalia — i nic więcej...

P. EMILIA: Podobno ją Cyganka tak nazwała przy spotkaniu — i odtąd Rózia przemieniła się na Rozaurę.

P. ZOFIA: A jednak, choć tak poczwarna, Rozalia miała tak piękne czarno-stalowe oczy, że pociągała ku sobie...

P. LAURA: Jakichś obłąkańców...

P. ZOFIA: Owszem, znam chłopców, którzy o niej marzyli...

P. EMILIA: Co za czasy! Tyle ładnych panien osiada na lodzie — a taka...

P. JADWIGA: Żeby przynajmniej była bogata... Ale przecież to nawet sukni porządnej nie miało...

P. LAURA: Pamiętasz, jak to mała Stefcia, kiedy zobaczyła Rozalię po raz pierwszy — wpadła w konwulsje...

P. EMILIA: Może p. Wawrzyniec lubi konwulsje — spazmy — epilepsję — opętania...

P. JADWIGA: Pewnie — pokumany z diabłem... A mnie się zdaje, że i ona z piekła rodem...

P. ZOFIA: No, przecież serce miała zawsze bardzo dobre... Była tylko niezmiernie smutna...

P. EMILIA: Czegóż się miała weselić?

P. ZOFIA: Ale diabelskiego nie było w niej nic...

P. EMILIA: Wyjąwszy buzi...

Jeden z panów tymczasem wstał od zielonego stolika i wszedł do salonu, gdzie były zebrane panie.

— O, pan Kasper! — zawołała p. Jadwiga. — Przecież pan był niedawno we Florencji. Czy pan widział tam Brzeszczota?

— Widywałem się z nim bardzo często...

— Razem z jego ubóstwianą — z jego Pawianą — Orangutaną?

— Nie rozumiem, o kim pani mówi?

— Proszę, niech pan przeczyta wiadomość z Florencji...

P. KASPER *przeczytawszy*: Ach, to bardzo szczęśliwie! Będzie cudowna para!

P. LAURA: Cha, cha, cha! Zawsze z pana żartowniś!

P. KASPER: Nie rozumiem zupełnie...

P. LAURA: Cudowna para! On, rzeczywiście, mężczyzna piękny, co się zowie! Ale ona! Toż to z przeproszeniem małpa, wiedźma kosmata, wcielenie brzydoty...

P. KASPER: Widać, że jej panie nie znają...

P. EMILIA: Ale owszem, byłyśmy razem na pensji. Znałyśmy ją od dzieciństwa... Była niegłupia, ładnie grała na fortepianie, ale z twarzy była podobna do trupiej głowy...

P. JADWIGA: Toteż nazywaliśmy ją trupią głową.

P. KASPER: Nie pojmuję! Widywałem ją przez parę tygodni — i jeżelim się usunął od jej towarzystwa, to dlatego właśnie, że była *za piękna*! Lękałem się o siebie. Toż to cud nad cudy — toż to niebianka! Zdaje mi się nawet, że nie powinna była zostać niczyją, aby wszyscy mogli ją czcić jak boginię... Lorenzo, tj. Wawrzyniec, bo takeśmy go nazywali we Florencji — jedyny mógł sobie pozwolić na taki krok, bo on jeden z niewielu na ziemi zdobył sobie jakieś moce nadludzkie... Chętnie przyznaję mu wyższość nad sobą — i nad wielu innymi.. Powiedziałbym, że bardzo wiele jest w nim z Boga...

Kobiety zaczęły naraz oddychać przyśpieszonym falowaniem piersi, jakby to wspomnienie o Brzeszczocie trafiało każdą w jakąś wrażliwą strunę.

P. LAURA: Ale ona!

P. KASPER: Ona? Oto jej fotografia.

To mówiąc, p. Kasper wyjął z pugilaresu[1] podobiznę osoby, o której mówiono, tak zwany „portret salonowy" — i wręczył ją zebranym paniom. Te — jak krogulce — rzuciły się na fotografię — i po prostu wyrywały ją sobie z rąk do rąk.

Widok tego portretu wywołał okrzyk zachwytu.

— Ach, ach, ach!

Nic innego nie umiały powiedzieć te panie — aż ich krzyk ściągnął do salonu grających w karty panów. Co się stało? — pytali zaciekawieni.

Piękno

Istotnie z portretu wyglądała na nich twarz tak nieprawdopodobnej piękności, że, jak to mówi się w bajkach: ani słowo nie wypowie, ani pióro nie opisze... Żaden z posągów greckich, żaden z portretów Leonarda ani Tycjana, ani Palmy starszego, ani Mantegni nie sięgał tej wyżyny... Wenus z Milo mogłaby u niej być kucharką... Jeżeli piękność ma

[1] *pugilares* (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

granicę — to jej granicą ostateczną, najwyższą, nikomu z ludzi już niedostępną była osoba, której słabe odbicie oglądały te panie, nie bez pewnego uczucia — powiedzmy otwarcie — zazdrości. Jednakże zachwyt przygłuszył to uczucie.

— Co za cudo!

— To sama Afrodyta[2]!

— To bogini bogiń!

— To anioł!

— To jakaś istota, co się na chwilę przedostała z nieba na ziemię!

— To nie ona! To nie Rozaura!

— To kto inny!

— Ktoś zupełnie niepodobny!

— A jednak — zauważyła p. Zofia.

P. LAURA: Co, a jednak?

P. ZOFIA: A jednak ona jest podobna...

P. EMILIA: Ależ to bluźnierstwo!

P. ZOFIA: Owszem... podobna.

P. JADWIGA: Co też ci do głowy przychodzi?

P. ZOFIA: Spojrzyjcie tylko: Rozaura miała twarz taką, jakby ją ktoś przypalił. Nos, powiedzmy, był zwęglony i w połowie ucięty; wargi tak wyżarte, że prawie ust nie mogła zamykać; broda jakby przecięta piła do skrobania ziemniaków, a te czarno-czerwone policzki — jakby kto z nich skórę wywędził jałowcem itd. — wszystko to pozwalało nam prawowicie nazywać ją trupią głową, bo istotnie była to głowa śmierci... A jeżeli dodamy prawie zupełny brak włosów na czaszce — i ten wyraz dziwnej starości na obliczu, które nigdy nie było młodym — to istotnie nie dziw, że czasami jej widok budził dreszcz trwogi. I gdyby nie jej płomieniste, błękitno-czarne tajemnicze oczy, to przecież jej oczodoły, wygryzione przed urodzeniem przez jakąś niepojętą truciznę — były to oczodoły śmierci, jak ją malują na obrazkach.

Wszystkie panie razem. No dobrze, ale tu...

P. ZOFIA: Tu? Mówię to wszystko, wiedziona przeczuciem... Wyobraźcie sobie, że ten spalony nos został cudem uzupełniony i doprowadzony do należytej barwy; że podobnież wargi rozwinęły się należycie i kolorem pąsowym zajaśniały; że plamy na policzkach znikły pod wpływem jakiejś niewidzialnej wegetacji alabastru i różowości; że czoło wygładziło swe szkaradne owrzodzenia i zajaśniało białe i promienne, że jej oczy błyszczą w otoczeniu różowej kanwy powiek; że na ich pobrzeżu zakwitają złociste bogate rzęsy i że ubogie kępki jej włosów rozwinęły się w bujne puszcze itd. Cóż będzie? Oto właśnie wystąpi ta twarz cudowna i archanielska — jaką mamy na tej fotografii...

P. JADWIGA: Przypuszczenie śmiałe!... Co pan myśli, panie Kasprze?...

P. KASPER: Nic nie wiem — i nic nie mogę powiedzieć. Ale z tego, co Panie mówią, wynikałoby, że p. Rozaura, gdyż to nikt inny być nie może — wyglądała dawniej inaczej niż dzisiaj. Ja ją poznałem dopiero przed kilku miesiącami; nie wiem, jaką była przedtem. Byłby to ciekawy fakt metamorfozy. Rozaura ukazała się we Florencji nagle, razem z Brzeszczotem — i zjawiła się już w kształcie najdoskonalszej piękności, jaką tylko wyobraźnia ludzka mogłaby wymarzyć. Nie wydaje mi się jednak rzeczą niepodobną[3] sprawdzić tę kwestię, gdyż, o ile mi wiadomo, Wawrzyniec ma za miesiąc najdalej być tu w naszym mieście.

P. ZOFIA: Panie Kasprze, na miłość Boga, niech pan śledzi ich przyjazd — i skoro tylko ją pan zobaczy, niech pan ją do mnie sprowadzi...

W półtora miesiąca później. Ten sam salon — te same panie. Nadto nowa osoba, Rozaura Brzeszczotowa, kobieta niepospolitej piękności: przypomina nieco Beatrix Cenci z obrazu Guido Reniego, w podobny czarny kostium przybrana, ale jeszcze dziesięćkroć piękniejsza. Po krótkich powitaniach, pocałunkach, zapytaniach, Rozaura jedna przemawia. Historia jej tak

[2] *Afrodyta* (mit. gr.) — bogini miłości. [przypis edytorski]

[3] *niepodobny* (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

jest dziwna, że słuchaczki gotowe ją uznać za bajkę, ale, choćby nawet ta powieść była nieprawdziwa, wzdychają zazdrośnie, a pani Laura od czasu do czasu po cichutku szepce sama do siebie: Psiakrew!

ROZAURA: Moje drogie przyjaciółki, jeżeli wolno kobiecie powiedzieć o samej sobie: jestem piękna! — to przede wszystkim wolno to mnie, bo przez dwadzieścia cztery lata życia byłam tak poczwarna, że nienawidziłam sama siebie. Niezgłębiona melancholia trawiła mą duszę. Nikt nigdy nie zrozumie, jaki ból mnie przenikał, gdy pomyślałam o swej ohydzie zewnętrznej. Zapewne, istnieje piękność duchowa i pracowałam nad sobą, aby ją rozwinąć w sobie i aby tą pięknością wyczarować swoją brzydotę fizyczną. Ale takie przeświecenie ciała anielstwem nigdy nie osiągnie choćby już nie *maksimum*, ale pewnej miary znośnej... I dlaczegóż, pytam, duchowa piękność ma się mieścić w takich ramach okropnych? Nieraz nad tym myślałam, czym zasłużyłam sobie na to przekleństwo, jakie grzechy popełniłam, czy w tym żywocie, czy w innych — i dopiero Lorenzo wyjaśnił mi tę tajemnicę... Lorenzo — nie śmiem po prostu wypowiedzieć o nim tych trywialnych słów: mój mąż... Istotnie — raz jeszcze powiem, jeżeli... Jeżeli wolno kobiecie powiedzieć, że jej mąż jest człowiekiem wyjątkowym, jedynym, zjawiskowym — to chyba ja mogę to powiedzieć o Wawrzyńca... Bo to już nie człowiek, to istota wyższa niż człowiek — i po prostu trwoga mnie czasem ogarnia i dziw niesłychany, że Lorenzo mną się zajął... On mnie stworzył i kocha mnie jako własne swe dzieło, twór swego geniuszu: on mnie wskrzesił i spoza mgły czterechset lat na nowo z grobu mnie wydobył...

Odrodzenie, Mąż

To, co wam opowiem — zapewne wyda się wam rzeczą niewiarogodną, historią z tysiąca i jednej nocy, ale porównawszy moją postać dzisiejszą z tym, coście dawniej widziały — odgadniecie łatwo, że musiało się stać ze mną coś, co tę przemianę wywołało... Po prostu musiał stać się cud... Inaczej tego nazwać nie mogę, choć Lorenzo nie uznaje cudu i mówi, że każdy mógłby cuda czynić, gdyby opanował pewne tajemnicze siły czasu i przestrzeni. Oczywiście ledwo jeden na miliony zdolen jest to uczynić i takim właśnie był Lorenzo. Jaką pracą, jaką ascezą, jaką intuicją doszedł on do tej potęgi — trudno mi to opowiedzieć, gdyż to przerasta siłę mego rozumienia, a i to dodam jeszcze z niemałą żałością, że Lorenzo dla odrodzenia mojej osoby całą swoją nadpotęgę poświęcił, więcej nawet, poświęcił swoją własną nieśmiertelność — i że dziś już zatracił swoją moc cudotwórczą. Ze mną wykonał on cud tak naruszający prawa, nie tylko przyrodzone, ale i nadprzyrodzone, że wszystką swoją magię wyczerpał i stał się podobny do większości ludzi pod względem swego stosunku do codziennych praw natury: nie mówię tu oczywiście ani o jego sercu, ani o jego umyśle ani też talencie, bo co do tego pozostał, jak był, wyjątkowym i jedynym.

Czary, Ofiara

W każdym razie miał on potęgę tajemniczą w krainie wiony, przenikającej niewidzialnie materię ziemską. My żyjemy w mroku trójwymiarowej cielesności, ale tuż obok nas, w nas, koło nas, leży byt odmienny, który trzeba widzieć, słyszeć, odczuwać. To widzenie, słyszenie, czucie leży na innej płaszczyźnie tej samej ziemi (a pewnie i na innych światach, które w tej chwili nas nie obchodzą), gdzie krążymy. Czas i przestrzeń inaczej tam się wobec nas układa, albo raczej my stosujemy się inaczej do czasu i przestrzeni. Czas u nas to potęga bezwzględna, której nic nie przemoże[4]; czas w tej dziedzinie, której nie mogę dać imienia, to siła, która się nieraz rozciąga w nieskończoność, sprowadza się do jednej chwili, przerzuca się w jutro i wczoraj — stosownie do woli. Wszystko to wam powiadam, abyście zrozumiały moją nadzwyczajną historię, a i to jeszcze dodam (tak mówi Lorenzo), że istota ludzka nigdy się nie zaczyna i nigdy się nie kończy; że każdy z nas był już nieraz na ziemi i nieraz jeszcze będzie w coraz innej postaci.

On to mi właśnie odkrył moją tajemnicę: ja byłam już niegdyś na ziemi — byłam już czterysta lat temu — i odtąd błądziłam po bezmiarach, aby się na nowo urodzić. Gdzie byłam? Byłam we Florencji — i miałam imię Rozaura, to samo imię, którym mnie kiedyś powitała Cyganka... Wiecie, ta Cyganka, co mi wróżyła, że za życia będę w niebie... Tak mi dziwnie brzmiały te wróżby, ale zachowałam sobie imię Rozaura... Nazywałam się Montalboni i należałam do najszlachetniejszych rodzin tego miasta... Żyłam za czasów Koźmy Medyceusza — i słynęłam z tak nadzwyczajnej piękności, że aż stałam się

[4] *przemóc* (daw.) — pokonać. [przypis edytorski]

przeraźliwą klątwą dla całego miasta... Jak niegdyś Ifigienię[5] bogowie wybrali na ofiarę ognia i skazali na śmierć, przeto że była piękną, tak i mnie patrycjusze Florencji skazali na śmierć za życia, na życie w grobowcu — za moją zbrodnię piękności...

Ale zbyt się śpieszę. Muszę wam naprzód powiedzieć, jak się to stało, żem poznała Wawrzyńca. Ramy rzeczywistości zawsze są trywialne: jechałam koleją żelazną do Brześcia Litewskiego. W przedziale siedziałam sama jedna, gdyż na mój widok każdy podróżny uciekał i wybierał sobie inny wagon.

Dopiero wraz z ostatnim dzwonkiem wszedł do mego przedziału człowiek nieznajomy, człowiek o twarzy tak pociągającej i miłej, o oczach, które miały w sobie taką bezdenną głębię, że na ich widok dusza moja zaczęła śpiewać jakąś cudowną melodię, nigdy dotąd jeszcze nie słyszaną na ziemi. Wiecie, że czasami komponowałam utwory muzyczne, ale tym razem moja muzyka wewnętrzna przerosła wszystko, cokolwiek ludzki duch wypieścił... W Edenie tylko dźwięczy taka muzyka — i byłam w tym momencie chwilowo tak szczęśliwa, jak nigdy. Ale skoro tylko nieznajomy wszedł do wagonu, opuściłam na twarz gęsty czarny welon — może trochę za późno. Widział mnie — i siedziałam pełna wstydu, że nie mogę mu twarzy pokazać... Przenikała mnie trwoga... On jakby czuł tę muzykę anielską, która grała we mnie, przyglądał mi się przez chwilę poprzez czarne zasłony — i tak mi powiada:

— Pani jest potwornie brzydka!

— Proszę bardzo — rzekłam oburzona, bo choć o tym wiedziałam, nie lubiłam tego rodzaju uwag.

Zauważyłam jednak, że w głosie podróżnego było takie wzruszenie, jakby miał dla mnie nadzwyczajne współczucie. Po czym dodał:

— Czy pani zgodziłaby się podnieść welon?

Właściwie nie chciałam tego zrobić, ale w jego żądaniu był jakiś hipnotyzm i nie mogłam mu odmówić; posłusznie welon podniosłam i, pełna żałości w sobie, pozwoliłam mu patrzeć na swoją potworność. On długo — długo przyglądał mi się w milczeniu, a we mnie — rzekłbyś — topniały jakieś odwieczne lody — coś tak kołysało się we mnie, coś tak płakało, śpiewało... on mi rzekł:

— Ale pani mogłaby być bardzo piękna...

Spojrzałam na niego zdziwiona. Serce mi biło jak młotem, oczy zabłysły ogniem. Chciałam się uśmiechnąć, ale się lękałam, że to będzie uśmiech poczwary.

— Oczy ma pani bardzo piękne... Ja widziałem niegdyś te oczy...

Zdumienie moje rosło. Nie znałam go zupełnie. Pierwszy raz oglądałam jego osobę.

— Tak — mówił podróżny — to było bardzo dawno... Czterysta lat temu.

Zrobiło mi się zimno z trwogi. Jakiś obłąkany — jeszcze mnie zabije! A może to i lepiej!

— Pani ma na imię Rozaura!...

— Właściwie nie. Ale tak mnie raz nazwała jedna Cyganka...

— Cyganka się nie omyliła. Pani jest Rozaura. W nazwisku pani jest Góra — jest Białość...

— Tak. Nazywam się Białogórska.

— Montalboni. Tak, to była pani. Najpiękniejsza kobieta na ziemi... Pani mnie nie pamięta?

— Ach, nie pamiętam... nie znam pana...

— A przecież ja tak panią kochałem... Obłąkania dostałem przez panią... A potem wtrącono cię do więzienia.

— Mnie? Ależ ja nigdy nie byłam w więzieniu.

— Ferdynand Medyceusz skazał cię na dożywotnie więzienie, na mogiłę za życia... Nałożono ci trupią maskę. Tak — i ta właśnie maska trupia dziś, przy twym nowym narodzeniu — wystąpiła na zewnątrz — i zasłania prawdziwą twoją twarz tak, że nie widać twej utajonej piękności... Maska ją wyżarła...

— Co za osobliwe żarty... Wyznaję, że się lękam pana... Takie okropne rzeczy pan opowiada...

---

[5] *Ifigienia* (mit. gr.) — córka Agamemnona i Klitajmestry, ofiarowana przez ojca, by zapewnić powodzenie wyprawy przeciw Troi. [przypis edytorski]

— To nie są żarty... Brzmi to może dziwnie, ale jest prawdą z innej płaszczyzny... Jeżeli się pani zgodzi, cofniemy się w czasie do szesnastego stulecia; staniemy we Florencji i tam na nowo rozpocznę rewizję procesu Rozaury Montalboni. — Musimy pani przywrócić jej dawną piękność...

Byłam ciągle pełna drżenia, a jednak jakaś niepojęta nadzieja budziła się we mnie.

— Takie dziwne i niewiarogodne mówi pan rzeczy, że chyba tylko pragnienie wiary w cud, utajone we mnie, wiarę mi nakazuje. Nie rozumiem, jak by się to stać mogło, co pan mówi, a jednak choć to pozornie rzecz nikła — brzydota cielesna, przecież wyznam, trawi mnie pragnienie piękności — i gdyby ktokolwiek cud ten sprawił, to bym...

— W tamtym naszym dawnym żywocie kochałem panią aż do obłędu, aż do bluźnierstwa. Bóg cię ukarał, żeś przyszła na świat w postaci okropnej. Zdjęta będzie z ciebie ta klątwa, jeżeli ukochasz tego, którego niegdyś wtrąciłaś w nieszczęście...

— Ukocham, kocham go już, zda się!

— Ukochasz malarza Wawrzyńca Frescoti, który całą kaplicę wymalował nieprzytomny postaciami podobnymi tobie, tj. Rozaurze Montalboni. Jego Madonny, święte Magdaleny, święte Cecylie, chóry aniołów — wszystkie miały twarz Rozaury, bo on ciebie jedną widział na ziemi.

Byłam wzruszona tak jak nigdy. Drżałam na całym ciele i tak mówiłam do nieznajomego:

— Panie, ktokolwiek jesteś, dzięki ci składam, bo pierwszy jesteś, który do mnie po ludzku przemawiasz, który mi takie cudowne opowiadasz rzeczy. Chociaż trwoga jest we mnie — chociaż nie wszystkie twoje słowa rozumiem, chociaż może zuchwalstwem jest z mojej strony marzyć o jakimkolwiek uczuciu: mam do pana bezgraniczną ufność; czyń, co uważasz za właściwe, a ja wszędzie pójdę za tobą, jako twoja poddana — a jeżelim cię kiedy w dawnym żywocie obraziła, to przebacz mi, bo z całej duszy tego żałuję...

Było mi bardzo gorąco, bo wybrałam się w futrze. Jak wiecie, marzec w tym roku był u nas bardzo śnieżny i mroźny; tymczasem naraz — sądziłam, że to skutkiem wzruszenia — tak mi się zrobiło gorąco, że musiałam zdjąć futro; okno otworzyłam w wagonie: świeżym zefirem powiało od runiejących pól i świeżą zielenią pokrytych lasów; dziwne kwiaty ujrzałam na drzewach przydrożnych i na dziwnej budowy domkach: migdały i glicynie... Zapach słodki unosił się w powietrzu, a w pobliżu widać było wysokie ściany z kamienia: góry czerniejące i siniejące na bliskim widnokręgu. Zdumiona spoglądałam na to wszystko i na szafirowe, czyste, bezchmurne niebo...

— Co to jest? Przecie to nie Litwa!

— Nie, my jesteśmy we Włoszech!...

— Jak to? We Włoszech?

— Tak. Zbliżamy się do Florencji.

Istotnie: musiałam się pomylić — i siadłam do innego pociągu. Wkrótce pociąg się zatrzymał — i słyszałam głosy konduktorów:

— Firenze[6]! Firenze!

Wyszłam z Wawrzyńcem — i już od tej chwili poddałam się jego woli. Zarzuciłam na twarz czarną zasłonę — i tylko przez krótki czas podziwiałam cuda Florencji, bośmy się śpieszyli, to jest on się śpieszył na przedmieście Certosy pod Florencją — a ja oczywiście za nim szłam bez woli, posłuszna jego myślom, oczekując rzeczy nieprawdopodobnych.

Był tam na przedmieściu mały, śliczny domek w ogrodzie, pełnym świeżych wiosennych kwiatów i zapachów.

Tam zaprowadził mnie Lorenzo (bo tak odtąd nazywałam swego wybawcę) — i niedługo już oglądałam ten nowy kraj, w którym się niespodzianie znalazłam — i wkrótce głęboko usnęłam czy też przeszłam w jakiś stan osobliwy, który zewnętrznie mógł być do snu podobny, ale który może w istocie snem nie był.

Nie tyle wzruszenia, może aż nazbyt mocne, spowodowały ten sen, ile raczej osobliwe czarnoczerwone wino, które Lorenzo wydobył ze swej torby podróżnej — i dał mi go wypić szklankę. Byłże to sen? Byłaż to śmierć? Czy też stan wyższy od śmierci? A może nie był to ani sen ani śmierć — ale szczególny stan istoty ludzkiej, która zerwała ze siebie więzy czasu i przestrzeni — i w najwyższej swobodzie krąży w nich, łącząc wczoraj

[6] *Firenze* (wł.) — Florencja. [przypis edytorski]

i jutro, rozdzierając tajemnice praw natury, przetwarzając to, czego już nawet sam Bóg nigdy nie czyni, przetwarzając niecofnioną przeszłość. Lorenzo powiada, że cała przeszłość ziemi żyje w przestworzach, jakby obraz realny; że kto by umiał stanąć w odpowiednim punkcie nieskończoności i kto by miał należycie zbrojne oko — ten by widział naocznie rozwijającą się wstecz bez końca przeszłość świata, która w niej trwa wiekuiście.

Lorenzo zdobył sobie tę potęgę, że umiał wznieść się w tę nieskończoność i umiał nie tylko *zobaczyć* tę minioną przeszłość, ale *zejść* pomiędzy tych ludzi i te czasy, o których opanowaniu myślał. O, nie swym fizycznym ciałem mógł to uczynić, ale wioną nieśmiertelną, którą może tym wysiłkiem na zatracenie skazywał.

Tam uniósł mnie ze sobą Lorenzo, wydobywszy ze mnie wszystką moją nadcielesność, aby drogą tej jazdy w nieskończoność stanąć we Florencji XVI wieku. Com widziała w tym stanie — rzecz zda się niepojęta, a przecież tak realna, że mi się ta moja dawna historia — historia Rozaury Montalboni przedziwnie splata z moją historią dzisiejszą — i sama nie wiem, gdzie się kończy wiek XVI, a gdzie zaczyna dzień dzisiejszy. Przecie to było tak niedawno, trzy-cztery miesiące temu...

Znalazłam się w okresie Medyceuszów florenckich. Panował właśnie Koźma I. Było wtedy we Florencji niemało pięknych kobiet, które uwiecznili malarze i opiewali poeci. Ale wolno mi o osobie nieżywej, o osobie sprzed lat czterechset powiedzieć: ja — Rozaura Montalboni, byłam najpiękniejsza ze wszystkich... Niestety, nad moją pięknością ciężyła jakaś klątwa. Moja piękność stała się źródłem nieszczęść całego kraju.

Gdziekolwiek się pokazałam — obłąkany bóg miłości prowadził za mną szeregi rozkochanych, którzy opuszczali żony i dzieci, okradali rodziców i skarb państwa, popełniali zabójstwa z zazdrości i dla zdobycia skarbów, które mi u nóg chcieli złożyć; tysiące pojedynków śród młodzieży, tysiące samobójstw wywoływały moje uśmiechy, moje spojrzenia, moje jedno słowo: tak albo nie!

Toteż jeżeli jedna połowa ludności florenckiej ubóstwiała mnie bez granic, druga połowa: rodzice, co rozpaczali nad grobem synów; żony i kochanki, opuszczone przez mężów i miłośników; dzieci, pozbawione ojców — wszystko to przeklinało mnie straszliwie. — Na sąd Rozaurę! Na sąd!

Trzykrotnie byłam oskarżona przed sądem, żem spowodowała zabójstwo — i raz nawet wyrok na mnie wydano, abym była stawiona pod pręgierzem, napiętnowana gorącym żelazem za zbrodnię piękności i na zawsze wygnana z Florencji.

Ale kat nie miał odwagi wypalić znaku hańby na moim ramieniu; przeciwnie, gorąco ucałował to miejsce, które miało świadczyć o moim wyświeceniu. Głowę mu ścięto — ale nikt już się po nim nie chciał podjąć tego dzieła...

Koźma Medyceusz wezwał mnie do siebie — i wszystkie zbrodnie mi przebaczył: był to starzec ku mogile już idący, cały pobożnym sprawom oddany i pobłażliwy na ludzkie słabości. Wybudował on nową kaplicę pod Signorią — i zamierzał ją przyozdobić malowidłami, gdy nagle przeniósł się na łono wieczności.

Nastąpił po nim syn jego, młody Ferdynand, który odznaczał się niezmierną surowością. On to postanowił wykończyć kaplicę, rozpoczętą przez ojca i — sprowadził młodego malarza, Lorenzo Frescoti, przyjaciela swego, aby freskami pokrył wnętrze świątyni.

Stało się, że wkrótce po przybyciu do Florencji młody Frescoti, młodzieniec zresztą dziwnie piękny i pełny niepodległości ducha, zobaczył na ulicy mnie, Rozaurę Montalboni — i nastąpiło to, co musiało nastąpić. Lorenzo od tej chwili nikogo prócz Rozaury nie widział na ziemi — i twarz jej zamieszkała w jego źrenicy na zawsze — iż się nigdy nie mógł z nią rozstać. — Co do mnie — to, wyznaję, że ze wszystkich ludzi, którzy uśmiechali się do mnie i do których ja się uśmiechałam — ten jeden mnie najbardziej zaciekawiał, gdyż było w nim coś tajemniczego, coś, co budziło we mnie trwogę i wzruszenie. Ale byłam wtedy nazbyt rozkochana sama w sobie — i bawiło mnie tylko, że jeszcze jeden szaleje za mną...

Lorenzo tymczasem malował wnętrze kościoła. Przez parę dni z rzędu nie spotykałam się z nim na ulicy, pod kolumnadą Ufficiów. Rzeczywiście tak się zapamiętał, że przez trzy dni, trzy noce, zamknąwszy kaplicę na wszystkie klucze, nie jadł i nie pił — i nie opuszczał swej pracowni; na chwilę nawet nie wyszedł, by odetchnąć świeżym powietrzem.

Niespokojny książę Ferdynand przemocą kazał otworzyć wrota świątyni: z obłędnym okiem, nieprzytomny zupełnie i nieświadomy rzeczywistości, krążył dokoła Lorenzo i przyglądał się swemu dziełu, które wykończył był w całości.

Było to dzieło niewątpliwie piękne, ale pobożnym nazwać go niepodobna.

Były tam Madonny, św. Magdaleny, św. Agnieszki, św. Barbary; były tam gromady aniołów — a wszystko miało jedną i tę samą twarz Rozaury Montalboni — moją twarz, taką samą, jaką tu widzicie teraz przed sobą.

Lorenzo, oprócz swych malowideł, nie widział nic i nikogo. Zmysły mu się pomieszały.

Oczywiście, wszystkie te dzieła traktowane były jako bluźnierstwo i obraza boska.

Książę Ferdynand kazał zniszczyć freski, kościół na nowo poświęcić i zamknąć, aby służba boża odbywać się w nim nie mogła.

Pomiędzy ludem pobożnym wieść ta wywołała straszne wzburzenie.

— Na śmierć Rozaurę! Zgładzić ją na wieki!

Jakoż wytoczono mi proces o piękność i wszystkie klęski wynikające z tej zbrodni.

Ale teraz nikt mi już nie przebaczył, nikt się nie ulitował nade mną.

Maska

Sędziowie wydali na mnie wyrok taki: Masz po wszystkie czasy, żelazną trupią maską osłonięta — przebywać w ciemnicy, aby nikt już nigdy oblicza twego nie widział — i z jego winy nie popełnił zbrodni ani też nie wpadł w szaleństwo...

I nałożono mi na twarz okropną maskę żelazną, a ja czułam, jak mi się w duszę wpija każda śruba i każdy gwóźdź po kolei; zdawało mi się, że trumną jestem sama sobie. Do końca moich dni miałam żyć w tej masce — strącona w głuche podziemia... Tu muszę wam powiedzieć, że jest różnica pomiędzy historią rzeczywistą Rozaury florenckiej, tak jak ją opisują kronikarze, a moją historią obecną, którą kierował poniekąd świadomie mój dzisiejszy mąż Wawrzyniec Brzeszczot, odrodzony Lorenzo Frescoti, jak ja jestem odrodzoną Rozaurą Montalboni.

Rozaura Montalboni siedziała w tej ciemnicy lat 28; wyszła dopiero spod maski, kiedy po śmierci Ferdynanda wstąpił na tron Koźma II Medyceusz, który z powodu swej koronacji wypuścił z więzienia skazańców. Żelazo skórę mi przepaliło i wyżarło: trupia maska ułożyła mi oblicze w postać trupiej głowy — tak, że na mój widok sędziowie pomdleli, a małe dzieci uciekały przede mną, jak wobec zmory.

Z tą straszliwą maską trupią urodziłam się powtórnie za naszych czasów; kiedy mnie ujrzał Lorenzo, postanowił natychmiast uczynić — jak mówił — korektywę przeszłości.

Ów obłąkany Lorenzo stał się dzisiejszym moim Wawrzyńcem, którego wszystkie męczarnie dawne, ześrodkowane i przeduchowione — przemieniły się w nadzwyczajną potęgę, w moc panowania nad czasem i przestrzenią.

On to — zlał się tajemniczo w jedność z obłąkanym, a dziś jasnowidzącym malarzem — i zjawił się u mnie — w ciemnicy, jako mój wybawca.

Kiedy wyrok był już wydany, kiedy mnie do więzienia wtrącono, kiedy rozmyślałam, że już nigdy z tego mroku nie wyjdę, oto usłyszałam kroki ciche, drzwi się otworzyły i stanął przede mną mój malarz obłąkany, ten sam, ale inny; był to bowiem Lorenzo, który się stał odrodzonym Wawrzyńcem — jak ja miałam półsenną świadomość, że już jestem czym innym, niźli byłam jeszcze dzisiaj rano.

W oczach Lorenza była niezwyciężona energia, półboskie wyłonienie sił utajonych człowieka, władnych nad wszelkim przejawem materii.

Zerwał moją maskę — ujął mnie w ramiona — i uniósł — przeniknąwszy bezpośrednio ściany więzienia... Czułam, że płynę w powietrzu, czułam, że tracę wagę, objętość, cielesność; toczyłam się po jakiejś linii spiralnej w niewiadomych regionach bytu, w promienistej ciemności; znikałam powoli sama sobie, wsiąkałam w majaki czasu, aby się z nich wydobyć powtórnie, aż opadłam zemdlona i bezsilna.

Obudziłam się. Przy moim łóżku stał Wawrzyniec i przyglądał mi się uważnie. Trzymał rękę na moim pulsie. Byłam jeszcze niezupełnie przytomna — i nie wiedziałam, czy to dalszy ciąg tej dziwnej historii (ach, jakże się lękałam pościgu sług sądowych księcia Ferdynanda!) — czy też nowa sprawa; czy jeszcze jestem w XVI wieku, czy też w naszych czasach.

Zapytałam o to Wawrzyńca. Uspokoił mnie: wypłynęliśmy po linii przełamania konieczności czasu — z dawnej Florencji do nowej — i już nam zbiry Medyceuszów żadnej krzywdy uczynić nie mogą.

Teraz dopiero — pół jeszcze dawna Rozaura, pół nowa — przyglądać się zaczęłam Wawrzyńcowi i teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego wobec jego postaci cała moja istota grać zaczęła jakąś melodię, pełną drgań wieczności... Bo to był ten, którego powinnam była kochać wówczas, a który teraz stanął wobec mnie, jako Orfeusz, jako nieśmiertelny, który dla mnie poświęcił swoją nieśmiertelność... Bo, istotnie, owa przemoc, jakiej użył był Lorenzo, aby przełamać prawa codzienne, aby zgwałcić kolejność czasu i opanować przeszłość, aby ją w dziś przetopić: wszystko to, mówię, nie odbyło się dla niego bezkarnie.

Najdoskonalszy człowiek nie stanie się wszechmocnym. Wszystka potęga magiczna opuściła go na zawsze; już nie jest tym mocarzem i władcą krain nadprzyrodzonych, jakim był dotychczas; utracił na zawsze moc odrodzeń, utracił nieśmiertelność — podobnie jak i ja, ale o mnie tu nie idzie; docześnie, co prawda, ale tak szczodrze wynagrodzona zostałam za utratę nieśmiertelności, że, wyznam — za nic bym jej nie oddała. Powiadacie, że piękność — to rzecz błaha, a ja mówię, że to skarb, to boskość: bom długo wycierpiała z powodu brzydoty. Prawda, że kiedym była ową panią florencką — cierpiałam z powodu piękności; ale bo też coś pogańskiego było w tej mojej piękności, coś szatańskiego... W ostatnim momencie, kiedym siedziała w więzieniu, zanim Brzeszczot mnie wyzwolił — rozmyślałam o tym i błagałam Boga, aby moja piękność, zamiast klątwą, mogła się stać błogosławieństwem. Dziś już nie wywołuję klęsk i śmierci dokoła; przeciwnie — szczęście roztaczam, a do kogo się uśmiechnę — ten do sił ducha powraca, ten zmartwychwstaje...

Piękność moja, choć na wieczystą zagładę skazana po śmierci, choć się już nigdy-nigdy nie odrodzi powtórnie — teraz świeci jak słońce i wszystkich do życia podnieca...

Ale on! On zatracił swoje nadczłowieczeństwo — bo takiemu, jak on, ani na chwilę jedną nie wolno ulec namiętności ludzkiej. A przecież on jej uległ: pokochał mnie jak zwykły śmiertelnik — i wszystko dla mnie poświęcił. Stał się człowiekiem, jak my wszyscy — ten, który był półbogiem. Już nie jest magiem, już nie mógłby nawet drugi raz powtórzyć takiej jazdy w przeszłość: i gdybym ja przypadkiem powróciła do dawnej formy (np. przez niewierność) — to już on nie byłby w stanie mnie odrodzić.

Ale ja nie byłabym już w stanie być mu niewierną, a z drogiej strony wyznam szczerze, wolę go tak jak jest dziś, bardziej człowiek, niż bóg... Stał zbyt wysoko nade mną — i nigdy nawet nie mogłam mieć dla niego uczucia litości...

Ale wpływ jego na mnie jest wielki: przez niego stałam się niezwykłą artystką: fortepian jest mi niewolnikiem, posłusznym najmniejszemu drgnieniu moich uczuć. Sztuka

Lorenzo taką mi nieskończoną melodię w sercu rozkołysał, że chwilami czuję się boginią, w której cały świat tonów jest ześrodkowany...

On zaś stał się tym, czym był Lorenzo Frescoti, malarzem, który maluje Rozaurę Montalboni — i w dalszym ciągu prowadzi tę pracę, którą rozpoczął czterysta lat temu... Tylko bluźnierstwo zniknęło... Cały jego geniusz magiczny przeszedł w sztukę malarską.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lange-w-czwartym-wymiarze-rozaura

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Lange, W czwartym wymiarze. Opowiadania, wyd. drugie, Spółka nakładowa "Książka", Kraków [1912].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.